

Orinoko



WIOLETTA GRZEGORZEWSKA

Orinoko

Okno

Kapłanka domowych śmieci przywołuje synów,
którzy na sankach szlifują betonowe podwórko.
Wieczorem bawił się w terrorystów na śmietniku.
Ich zakładnik szuka niedopałków starego świata.
W bramie różowe dziewczyny *Made in China*,
na przemarzniętych stopach ostatni krzyk mody.

Jej syn na parapecie zaklina śnieg: „padaj, padaj!”
Schodzi po węgiel do piwnicy, musi ratować ogień
w żelaznym gnomie, który jest tak złośliwy,
że potrafi zgasnąć podczas największych mrozów.

Przemiany

We mnie wyjałowione pola słoneczników,
plewione w czynie społecznym przez kobiety,
które w niedziele przywoził stary osinobus,
pestycydowe raje ptaków i umorusanych dzieci
bezczeszczone regularnie przez pijanego sąsiada,
który jak pokurczony hobbit z rozpiętym rozporkiem
spuszczał się na liście oblepione wiankami mszyc.

Co z tego wyrosło: mszycozaury? homomszyce?
Osiedla koślawych domów na łodygach asfaltu.

Ryba u Franciszkanów

Przygodna wolontariuszka nad kotłem grochówki,
w majerankowej mgłę wyglądam przez okno,
jakbym chciała wyczarować na zewnątrz miasteczko
w Toskanii, a tu Kalwaria Pałacowska, letnia susza,
uroczystości odpustowe i pątnicy spragnieni cudu,
który według meteorologów zdarzy się po południu.

Przed godzinkami zakonnicy w brązowych habitach
posypują piaskiem gardła drewnianych wychodków,
straganiarze ustawiają pod murem zakurzone kramy,

powietrze gęstnieje na dziedzińcu, w moich oczach
rosną białe pletwy, w ustach kamienne skrzela.

Lokatorki

Siostry wyrzuciły mnie z poddasza za uciekanie
w nocy przez ostrą bramę, tam gdzie świat
nie wlecze się monotonnie jak obłąkany pacierz.
Kto posprząta śmieci po pielgrzymach,
umyje *ludwikiem* gliniane twarze madonnom.
Skończy się zeskrobywanie gumy po wikarym,
który udzielał miętowych rozgrzeszeń i podkładał
z refektarza gulasz dla swoich lśniących piesków.
W pokoju, który jeszcze nie wywietrzył
zamieszkała zakonnica z przyjaciółką paprotką.

Za górami

Kiedy wracaliśmy autobusem z Białej,
wszystkie drogi prowadziły do strumieni.
Powietrze było podchmielone i góry
tak wielkie, że można się do nich modlić.
Kozą przywiązana sznurkiem do sosny,
ledwo trzymała się stoku. Klęczała
przed listkami mniszków, jakby prosiła
o inne życie. Ja też obudziłam się inna
w cygańskiej dzielnicy, obok internatu
z niedoboru jodu zmieniłam się w kosmitkę,
plątałam się po Martinie jak orawski przysmak.

Postój

Sierpniowa pielgrzymka na Jasną Górę,
kobiety podmywają się w bajorku za drzewami.
Ministrant, który niesie na plecach jako pokutę
zielony sztandar Parafii Świętego Antoniego,
uważa, że ich łona pachną świeżym chlebem.
Siedzę na drewnianym wozie z prowiantem,
w plecakach gotują się konserwy i pomidory,
pszczoły giną w uśpionych trąbkach strażaków.

Obraz nadchodzi

Matka bije dywany, podlewa szlauchem chodnik,
myjemy nawet listki kwiatów czule jak niemowlaka.
Wszystko lśni, gdy Obraz wchodzi z sanktuarium,

pobrudzone woskiem atlasy opierają się o próg,
tłum jak zagazowane muchy rozprasza się w sieni.

Niepojęta jest pieśń do pudła, z którego macki
madonny jak wymyte resztki pelargonii schodzą
pojedynczo na gumolit, niepojęty jest ten Obraz,
który mnie przemienia w przestraszone dziecko.

*Diabeł Milocardin*¹

Pod zgniłym siennikiem, w kiblu — królestwie
władcy much za stodołą, w telewizorze *rubin*,
na strychu, gdzie nietoperze odwracały świat
do góry nogami, a czas tlił się nerwowo
jak popularne papierosy znalazł mnie diabeł.
Pojechał ze mną do miasta na olimpiadę z chemii,
na pierwszą dyskotekę do remizy strażackiej,
pozwolił bez zmrużenia oka czytać *Egzorcystę*,
był moim pierwszym, cierpkim kochankiem.

Pilnujemy dymu z komina

Dla Renaty Zarychty

W tłusty czwartek odwiedzam chorą sasiadkę.
Przy łóżku na makatce haftowane flamingi,
woda wygrywa marsz w zardzewiałej misce.
Che uciec z tej izby pachnącej walerianą,
i mydlarskim ługiem. Mam siedem lat i nie znam
chłodu, który czeka w sieni, w sercu tej kobiety.

Ona łapczywie zlizuje puder z faworków,
zawstydzona odwraca się do ściany,
zostawia obolałe i schodzi
do wyszywanego
jeziora.

W hotelu przy Żyznej

Czytam *Rozmyślania Przemyskie*,
na świetlicy Rosjanie oglądają pornusa,
(do tego niepotrzebny jest lektor),
o świcie pakują tajemnice do jutowych toreb
i wyruszają do Bazarowego Królestwa.

Próbuję napisać list skostniałymi palcami:
„Mamo, wreszcie znalazłam przytulną stancję”
tak ciepła, że strach nie pozwala zamarznąć,

¹*Milocardin* — środek uspokajający. [przypis edytorski]

wieczorem nie można wejść pod prysznic,
wataha śliniących się wilków pożera
studentki w bawełnianych pidżamkach.

Amazonki

W internacie rytuał obcinania paznokci,
roztocza mają ucztę, kiedy dziewczynom
z filologii łuszczy się po solarium naskórek.
W kabinie prysznicowej rozkleiła się podpaska,
bordowa stróżka² płynie po płytkach jak Orinoko.
W nocy pora polowań, deszcze niespokojne,
w tropikach giną koledzy z politechniki.

Nawiedzona w Skrzacie

Po rynn timer zjeżdżał prysznicowy wirtuoz,
który zmieniał skarpetki raz na ruski rok,
raz na zawsze chciał skoczyć na piwo.
Malarzka spod piątki, pogotowie seksualne
w kotłowni, lekką ręką pomagała kolegom.
Upośledzony wujek Józek, najlepszy model
na Wydziale Plastyki, tańczył na płytkach,
w kuchni, jakby rozgrywał partie szachów.

Tam byłem chiromantką, łączyłam po liniach
życia i serca jak akrobatka.

Ciuciubabka

Pobiegłam na autostradę. Wsiadłam do tira
skazana na oglądanie Charona, który woził
nieprzytomne krowy, tam gdzie nieskończoność
chwiała się na haku. Paplał o starej,
która puszcza się często, kiedy on jest w trasie.
Przesiadłam się do zachodniego samochodu,
częstowałam się gorzką czekoladą, rozmawiałam
po niemiecku o pogodzie, Wałęsie i papieżu,
przetykałam rosnące w gardle anioły strachu...

Skoro nie chce się zatrzymać, trzeba ja zgasić.

²stróżka — tak w oryginale; powinna być „strużka”, ale fragment w tym brzmieniu stał się mottem wiersza Jakuba Głuszaka z tomiku *Moje przesłanie do pokolenia współczesnych trzydziestolatków*, więc zdecydowaliśmy się pozostawić tu wersję oryginalną. [przypis edytorski]

Blue Velvet

Żyłam w czyścicu *Tartak*, w Biznes Centrum,
Tam piwo pienilo się jak tutejsze morze,
barman był kulawy, otwierały się sezamy
pod stołem dla cierpiętników wszelkiej maści,
święta była przemiana kostek lodu w wodę.
Absolut nas rozgrzeszał. Półnogie czekałyśmy
w narożnikach, peruki pachniały sianem,
w rękach starego Wadima wszystkie jak aksamit
polskie laski, bułgarskie sokowirówki i rosyjskie wydry.
Teraz, gdy nie patrzę na swoją twarz w gablotach,
chciałabym tam wrócić, kłać po polsku, obgryzać tipsy

Przedwiośnie

Jeszcze jeden odważny spacer w zimnym świetle,
kontury stają się za ostre, sople nokautują w słońcu,
ucieczki kończą się lądowaniem po drugiej stronie luster.
Na skwerku kobieta, która dawno postradała zmysły,
nazywa świat nowym dialektem, karmi gołębie chlebem,
ptaki siadają na jej ramionach i skubią spleśniałą komunię.

Muszę zatrzymać ten widok: Pani Babel krąży alejami,
a matki z dziećmi uciekają przed nią, jak przed grypą.

Wszystkie wieczory świata

Pierwszy samotny wieczór na poddaszu,
niewyraźny jak biała cerkiew za oknem,
w podbrzuszu niosłam przezroczyście kiełki
i strach, który trzeba uciszać *postinorem*.

Kiedy mąż przepływał Cieśninę La Manche,
musiałam pilnować dłoni, palce tęskniły.
Złośliwe klucze nie chciały się przekręcić,
w przeciwieństwie do mnie miały żelazną wolę.

Bigbitowo

Wymyślona przeze mnie kochanka
jest słodka jak melodia o Aluette,
nienasycona lodyga hortensji
zwykle dochodzi w pięć minut
do miejsc, gdzie pokazuje landszafty.
Nie jada na kolację lososia w pieprzu,
pod poduszką chowa hamburgery,
nie wysła esemesowych chartów,

w których opowiada sny o toreadorach.
Wódka w korze, bigbitowe ciało bez blizn,
w środku ślad, który się nie zgoił.

Bezsenność w Ryde

*Od wszystkich rzeczy oddziela mnie próżnia
i nie pcham się nawet ku jej krawędzi.*

Franz Kafka, Dzienniki 1910–1923

Plamka na tęczówce, rudy kot na framudze,
lśniące futro na krawędzi powietrza,
wylazi z siebie, aby dogonić dmuchawiec.
Z wiktoriańskiej kamienicy wypływa kobieta,
niech jej wybacza ściany codzienne przekleństwa.
W nocy otwiera się próżnia, pęka w skroniach,
nabita płaczem dziecka i gwizdem promów

Więcej krawędzi, mniej słów

Morfinowe

Franz Kafka „Przemiana”

Wąłkarz lipczyk, krawiec głowacz, orszoł prążkowany
przyszli w białych fartuchach, sterylne gadziny,
specjaliści do spraw chirurgicznej przemiany.

Najpierw zmienili głowę w szyszak zwariowany,
przez butle, rurki, kaniule pompowali płyny,
wąłkarz lipczyk, krawiec głowacz, orszoł prążkowany

moi starzy znajomi. Sapiens zaplątany
próbował się wydostać ze szkieletu chityny.
świat się pootwierał na skutek przemiany.

W kolbie sali symfonia, ogród światła rozlany.
Całą noc przelewali zimne krople morfiny
wąłkarz lipczyk, krawiec głowacz, orszoł prążkowany.

Lampy wybałuszał sufit drapowany,
za parawanem mijają nieludzkie godziny.
Trio grało na skalpelach. Pod koniec przemiany

powróciła przytomność i świat sponiewierany.
Niech się utopią w rymach mojej formaliny
wąłkarz lipczyk, krawiec głowacz, orszoł prążkowany
w szpitalu Saint Mary's, sprawcy mej przemiany.

Oko waserwagi

Tytus Czyżewski

Ja Władysław, syn Marianny i Józefa, stolarz
z dziada pradziada, urodzony na klepisku
jako dziecko od pasania krów uciekałem,
modlić się pod kapliczką do Anioła Stróża,
by choć raz pozwolił pojechać do Warszawy,
którą widziałem na obrazie u księdza w Kamyku.

Ożeniłem się z panną, co w łóżku jak kamyk,
wysłali rozkaz, pojechałem do Warszawy,
wcielili do armii. Pytajcie Anioła Stróża,
pognali mnie do obozu, gdy uciekałem
z Sudetów, żulem korę z głodu. Na klepisku
jak bydlę konałem, ja syn Józefa, stolarz

jak postrzelona kuna w lesie na klepisku
i nie wyniuchał esesmański pies stolarza.
W rynnie pod mostem dziękowałem Stróżowi,
że mnie nie zawiódł do płonącej Warszawy,
co paliła się jak stodoła. Nie było kamyka,
którego nie podeptał wojskowy but. Uciekałem

na furmance, za pazuchą mój Anioł Stróż
heblował mnie na człowieka, mnie stolarza.
Dał cynk, gdy podchodziłem do Warszawy,
że ślubna z byle cepem urzęduje na klepisku,
chciałem babie manto spuścić, ale uciekła
perliczka jedna. Z domu nie został kamyk,

wystrugałem nowe gniazdko, ale uciekłem
do gospody przed miejscowym aniołem stróżem,
co partią mamiał, obilem mu mordę na klepisku,
przyjechali mundurowi, wsadzili mnie stolarza,
ojca dzieci, po których został cmentarny kamyk.
Długo śniłem na pryczy, że jadę do Warszawy,

leżę w hotelu i oglądam ulice Warszawy
przez okienko jak oko waserwagi stolarza,
leże w srebrnej wannie, nie na klepisku,
wącham mydełko jak rzeczny kamyk,
leżę tak sobie bez wiórów i nie uciekam,
wrywa mnie ze snu klawisz, wredny stróż.

Ja stolarz, syn Józefa, urodzony na klepisku
uciekałem całe życie przed Aniołem Stróżem
do Warszawy. Niech spadnie z serca kamyk.

Kotyszże sie, kotysz

Po kąpieli mama wyczesawała wszy
gęstym grzebieniem na *Trybunę Ludu*.

Kiedy zgniatała przezroczyste owady
na łysinach dygnitarzy, zapukał listonosz.
W turbanie nasączonym trującym płynem
wyprowadzili mnie na strych.
Podziwiałam miniatury na jajach gołębic,
seledynowe kielki owsa pod plandeką,
od zapachu płynu spuchł mi przętyk,
nieprzytomną zawlekli mnie do łóżka,
tam babcia nawlekała na nitkę plastry snu.

Wszystko o mojej babce

Córko pszenicy, niewolnico chytrej lebiody,
matko pięciu stron świata i trzech hektarów,
ostronosza żono stolarza, kochanko zduna,
pachnąca szarym mydłem królowo, w chustce
ze złotą nitką pani, z nimbem ptaków o świecie
umęczona wasalko pól, chleba naszego akuszerko,
mistrzyni polewki i żuru, opiekunko kapusty,
która zanosilaś dojrzaly sierpnie do stodoły,
wojowniczo znienawidzona przez koty;
bono kwaśnego zaczynu w kamiennym domu,
niedotleniona meduzo o poskręcanych palcach,
nawlekająca nas na nitkę jak ćwiartki gruszki,
urodziwa selenitko z wytrzeszczonymi oczami,
z wolem tarczycy na szyi czarna wróżbitko,
czuję wokół twoje deseniowe spódnice,
siedem napiętych antenackich kręgow,
lunatyczko łapiąca oddech przez szczeliny snu,
damo z jaskrą idąca po omacku do światła
w stołowym, w piecu, na ganku i w studni,
na łozu małżeńskim ukrzyżowana rodzicielko,
porzucona metreso, słodko-gorzka niewolnico
dawnych przyśpiewek, zabobonów i wierzeń,
babciu wytrwała kusicielko, sina wierzbo
nawiedzająca uparcie moje myśli i wiersze,
klepsydro, księgo starych słów i światów
ze złamanym obojczykiem popłyn
na zawsze z tą bezbarwną rzeką

Okonie

Ojciec kroił ryby,
srebro ślizgało się w rekach,
muchy koczowały na rogu,
bawiłam się białym pęcherzem,
który wybuchał jak sterowiec.
układam naszyjnik z ości,
białko skwierczało na patelni,
woda zapominała.

Malowanie z Wasylem Surikowem

Jastrząb jak nakrapiany kozik przecinał zasy.
Ojciec wybiegł na dwór w drelichowej kurtce,
kaptcie ślizgały się na oblodzonej miedzy,
śmigaly kryształy berberysów, płot, drzewa
jak tłuste baranki. W potrzasku szarpała się samica,
litościwe słońce rozszczepiało ją na śniegu.

Kurze oko

Zimny kwiecień, kurczęta dojrzewały
w klatce pod ogromną żarówką.
Podawałam im poszatkowany pokarm:
gotowane jajka, krwawnik, wodę na denku.
Oglądałam stworzenia pachnące piaskiem
i śluzem, wyklute z nieznannej czerni,
która była jak całonocne przerwy w dostawie prądu.
Pamiętam szelest w ciemności, kiedy zgasła
żarówka, sztywniejące plamki, migotania.

Wszystko o moim ojcu

Ojcie, synu mętnej Warty, synu Bożego Stoku,
synu śląskich akwenów i jurajskich kamionek,
wojownika w tatarakach z bambusową bronią,
prowadzący wojny podjazdowe z piżmakami,
które odważyły się przegryzać tętnice grąźeli,
kozetkowy onanizatorze, niech mnie pamięć myli,
Wędkarzu w liściu łopianu na głowie, Magiku,
który czarowałś skręta ze śliny, tytoniu, bibułki.
W dymie byłeś znawcą mitologii chrząszczy,
takich jak *Tribolium destruktor* żyjący w orzechach,
który niszczy w zagrożeniu swoje młode larwy,
muzykancie krzywdzący w nocy niewinne
bandzo i moje uszy wielkimi improwizacjami,
grający na liściach przed oniemiałą rodziną
piosenki Elvisa Presleya i więzienne ballady,
pszczelarzu, przenosiłeś gołymi rękami
z jabłoni do ula młode roje i karmiłeś je karmelem,
gołębiarzu, kłusowniku, mistrzu ceremonii,
przeszukiwałeś arealy ażurowych kości,
zwinęte w zbożach kuropatwy nabierałeś na wnyki;
bażanty pozbawiałeś godowej maści i powietrza,
stare liliputki naciągałeś na miedziane szkielety,
czyste wnętrza kun faszrowałeś watoliną,
ojcie, którego odnalazłam, niech mnie pamięć myli,
na liście *Wildsteina*, który na portierni szkoliliś
robotników, aby kasowali w datownikach karty pracy
jak chore, białe języki, odźwierniku posyłający

papier na sponiewieranie, biegający na pochody,
na zabawy, na odpusty, Don Juanie wiejski,
felczerze od wszystkich boleści, ratowałeś
moje życie psim sadłem, niech mnie pamięć myli,
królu hipochondryków umierający codziennie
na jedną z pięciuset stron *Medycyny Domowej*.
Niech będzie przeklęty ten sinawy zimorodek,
który wygrzebał gniazdo w twoim słabym sercu.

Języki cząstek

Profesor od chemii, znawca wszelkich zasad
i kwasów, stał z linijką pod układem okresowym,
godzinami wbijał nam do głowy symbole pierwiastków
W laboratorium nauczał językiem cząstek,
w oscylatorze bawił się z atomami w ganianego,
jak alchemik męczył w probówkach rtęć,
przeliczał deszcz na jednostki kropel.
W jego świecie drzewa miały regularne słoje,
życie było wprost proporcjonalne do śmierci.

Z chirurgii ogólnej

Kobieta po resekcji woreczka narzeka,
że nie może pić kawy i wszystkie poranki
są mdłe jak spotkania w kółku różańcowym.
Zabandażowani kolumbowie próbują odkryć
kiosk w podziemiach szpitala,
ale syrena z mopem zawraca ich na stały łąd łózka.
Mająca Królowa Słaba przepowiada nadejście
„czerwonych armii i krów na złotych łańcuchach”.
Ślepa kiszka jak stara uliczka prowadzi ją daleko.
Potem przychodzi moja kolej, proszę o zastrzyk,
żeby nie widzieć, jak człowiek staje się ciałem.

Oko kotary

W sali pooperacyjnej pokorne moczenie,
z basenem wszystkie chwytły dozwolone.
Schowałam czopki przeczyszczające,
rozpuściły się, salowa doniosła, że pluję
na jej robotę, potem kroplówki były łaskawsze,
poily mnie dawką wyborowych hipnosów.
Na korytarzu trwał mundial pidżamowców,
puszczały nerwy i szwy, za kotarą ktoś umierał,
aparatura piszczala jak przejście dla pieszych.

Stacja w Siemianowicach

We śnie biegnę z mamą przez Bytowski Park,
w którym wampir pochował ciotkę Anię.
Tę sprawę dawno umorzyły lokalne gazety,
ale mama mruży oczy, jakby nie ufała światu.
Lecimy meandrami linii tramwajowych
i krzywych wiaduktów na dziesiąte piętro,
tam mieszkają osierocone kuzynki.
Pod blokiem termity parkują samochody,
w kolejce przed sklepem mięsnym toczą
ślaską mortadele; znikają w sztolniach.

Coś wisi w powietrzu i wchodzi do gardła.

Duszne rondo

Wróciłam na stację przy ulicy Lelewela.
Na materacu studentki wkuwały fizykę
zagłodzone jak średniowieczni mędracy
w ostatnim stadium umartwiania.
Odkryły prawo zepsutej wagi w łazience,
że kobieta może być lżejsza od powietrza.

Wróciłam z pierwszą wypłatą w kieszeni.
Zamiast uczyć się na egzamin z historii,
oglądałam Jagiełłę na wymiętym banknocie.
„Jako mężczyzna mógłby się rozmnożyć”.
Zdjęłam uniform śmierdzący fryturą
i wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wróciłam, a koleżanka z testem ciążowym
w tym miesiącu nie wywiodła w pole matki
natury. Oblała egzaminy Byczą Krwią.
W ślepej łazience podcięła sobie żyły
tępym kozikiem do obierania kartofli.
„Kiedyś będziesz lżejsza od powietrza”.

Bigos w klubach emigrantów

Po nabożeństwie spotkanie opłatkowe,
kolędy jak złapane przez mróz sukienki,
mer wyspy Wight udaje wzruszenie,
Uciekam na kurs angielskiego (ziewania).
Praca w grupach, miętolenie słówek,
w przerwach skręcanie papierosów.
Skrzydółka tytoniu wynoszę we włosach
na George Street, aby je zgubić na dworcu.
W autobusie słyszę polskie zwierzenia:
„Nie potrafię się rozstać tylko z nokią”.

Lekcje tańca dla zaawansowanych

Potem wypadli z siedzeń, z czasu,
z torebek wysypały się plany na jutro,
chipsy o smaku przestraszonej skóry,
niedokończone zdania w telefonach,
kryształki szyby kielkowały na twarzach,
nogi wspólne, włosy niczyje, w dłoniach
jeszcze przez chwilę zaciśnięte powietrze.

Z duchami

Za progiem konduktorowi kocie łby podnoszą pyski.
Zgiełk w bramach, zgiełk wewnątrz granitowych kamieni.
Na językach pochody, procesje, pątnicy tańczą w Bistro.
Na ławkach podrygują uda harcerek, dworzec się mieni,
za storami nocne rokowania, wyczekiwanie końca,
pętla cyklistów, pętla kamienic, przemarsze, klucie zelówek.
Głębiej: zapach słoniny przeschmuglowanej ze wsi, ucieczki,
zakazane sny, za rogiem ślepe strzały, piwnice się otwierają,
w ogrodzie na dachu puchnie po deszczu gniazdo jaskółek,
słychać ragtime wozaków, gazeciarzy, gwar w Grand Cafe.

O śmierci

Seamus Heaney

Mówi: jest w tobie tajemna przestrzeń,
pod mostkiem czujesz kamienny dom.
W nim mieszka ta Mała. Zawozi ją do szkoły
taki rudy, co ukrywa ślad po mauserze.
W szkole uczy się języków martwych,
procesów rozpadu, anatomii drobnoustrojów,
wzorów skończoności i teorii przypadku.
Przeczytała już obowiązkowe traktaty:
„O wybijalej i historycznej naturze grzybów”,
„O eksterminacji roślin naczyniowych”
— Zbyt pilna, dojrzała, jak na swój wiek —
powiada jej niewyraźna babka
zajęta cerowaniem sepiowych zdjęć.
Wieczorem siedzi z dziadkiem na ganku,
podaje mu lodowatą rękę, ogląda gwiazdy,
nieruchome punkty, majaczący blask w głogu.
Słyszy miarowe bicie źródła w stawie.
Dziadek całuje ją w czoło.
Jego usta błysk w pajęczynie,
dłonie spuchnięte króliki w niebieskim sitowiu
tną krajczegą deski na nowe łózka,
na wszelki wypadek, dla nowych gości.

Co będzie, gdy dorośnie? Przejrzyj na oczy
i zapragnie zachłysnąć się twoim powietrzem.
Może przejdiesz ulicę na czerwonym świetle,
napatoczysz się w miejskim szalecie na złotą bestię,
na sen, nóż w parku, na splot wydarzeń i słów.

Forget-me-not

Cmentarz w Wootton Bridge z nowego wieku,
groby jak klocki lego rozsypane na murawie.
W środku kamiennej układanki stare drzewo
idealne na huśtawkę albo domek w gałęziach,
cisza w konarach ma moc odwracania czasu.
Siedzę na ławce dedykowanej *Ukochanej Ann*,
tłumaczę inskrypcję jak list z innego świata,
plamy żywicy dotykają mnie w późnym słońcu
indygowa ręka kołysze zmierzch, pęka kora?

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grzegorzewska-orinoko>

Tekst opracowany na podstawie: Wioletta Grzegorzewska, *Orinoko*, Teatr Mały, Tychy 2008.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5208-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).